

JOLANTA MARIA KALETA

KOLEKCJA HANKEGO



JOLANTA MARIA KALETA

KOLEKCJA HANKEGO



Wydawnictwo Psychoskok

Jolanta Maria Kaleta
"Kolekcja Hankego"

Copyright © by Joanna Maria Kaleta
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład, opracowanie graficzne i projekt okładki:
Wydawnictwo Psychoskok

ISBN: 978-83-933996-7-3

Wydawnictwo Psychoskok
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

SPIS TREŚCI

POŻAR	5
ANONIM	23
ZAGADKOWA LISTA	38
ŚLEDZTWO	51
ROZSTANIE	62
TAJEMNICA ZARZYCKIEGO	81
KRADZIEŻ	93
TROP KURZBACHA	108
DUCHY PRZODKÓW	128
MAREK KOSZYCKI	154
MUZEUM W GRYFOWIE	167
ZAMEK CZOCHA	190
W PODZIEMIACH KW	217
KRYPTONIM „KUSTOSZ”	252

KULAWY	260
ODNALEZIONY WILLMANN	267
WŁAMANIE.....	282
MATA HARI.....	293
KLASZTOR W WAMBIERZYCACH.....	304
ZŁODZIEJSKA SZAJKA	328
PRZESŁUCHANIE	347
WIĘZIENNA CELA.....	364
BERLIŃSKI ŚLAD	383
NAPAŚĆ	404
ZA ŚCIANĄ	418
NA TROPIE	434
ZAMKNIĘTA SPRAWA	450
PAŁAC W KARPNIKACH.....	457
TAJEMNICA PAŁACOWEJ SKRYTKI	478
WE DWOJE – EPILOG.....	493

POŻAR

Minęła północ, kiedy Matyldę obudził głośny szept mamy i delikatne szarpanie za ramię.

- Tyldziu... Tyldziu... Obudź się. Kościół się pali.

Słowa matki docierały do niej z głębokiej otchłani pierwszego snu, tego najtwardszego i najsmaczniejszego, jaki się miewa w tym wieku, w wieku dwudziestu paru lat.

- Kościół? – spojrzała na matkę nieprzytomnym wzorkiem. - Który?

Z żalem otworzyła oczy. Miała taki piękny sen. Fruwała jak ptak, wysoko nad domami. Szybowała nad ogrodami, a wszystko, tam w dole, wydawało się takie małe niczym drewniane, dziecięce klocki.

- Kościół garnizonowy – wyjaśniła mama, wrywając ją ostatecznie ze słodkich ramion Morfeusza. – To straszne, ale jeszcze czegoś takiego nie widziałaś.

Szybkim krokiem wróciła do pokoju, gdzie jej matka, a babcia Matyldy stała w drzwiach na balkon i obserwowała popisy żywiołu.

Mieszkanie tych trzech kobiet znajdowało się na czwartym, ostatnim piętrze bloku, przed którym, aż do Placu 1-go Maja nie pobudowano żadnych wysokich budynków. Dopiero szpital wojewódzki i cerkiew prawosławna przy ulicy Świętego Mikołaja zasłaniały częściowo bryłę kościoła Św. Elżbiety, zwanego garnizonowym. Płonęła wieża i ogień był widoczny jak na dłoni. Wysokie płomienie strzelały w górę na kilkanaście metrów, odcinając się jasną, prawie żółtą barwą od nieba, które przybrało kolor purpury. Z ognia, co chwilę, strzelały w górę snopy iskier. Tego, co działo się poniżej, Matylda nie mogła dostrzec, jednak dochodzące do mieszkania wycie syren straży pożarnej, pogotowia ratunkowego i milicji, pozwalało wyobrazić sobie rozgrywającą się tragedię. Zapewne działo się tam prawdziwe piekło. Istotnie – na drugi dzień w gazetach i w dzienniku telewizyjnym podano informacje, że mimo udziału w gaszeniu pożaru wielu jednostek straży pożarnej, płomienie strawiły nie tylko wieżę i dach kościoła, ale także jego wyposażenie, w tym jedno z najpiękniejszych, zabytkowych organów, jakie istniały na Dolnym Śląsku.

- Zupełnie jak podczas bombardowania Lwowa...- przypomniało się babci, stojącej z rękoma splecionymi za plecami, co jeszcze bardziej uwidoczniało jej brzuszek. W zasadzie nie można było powiedzieć, że była gruba, ale brzuch po trzech ciążach i porodach pozostał wydatny. Teraz, obserwując ten festiwal ognia, stanęły jej przed oczyma koszmarne dni wojny.

- Przecież już raz się palił... kilka miesięcy temu... - Matylda wytrąciła babcię z jej wojennej pamięci i przywróciła do teraźniejszości. - Pamiętacie? W gazetach napisano, że spaliło się całe rusztowanie.

- Pewno robotnicy zaproszyli ogień przy tym całym remoncie, wtedy i teraz - mama nerwowo zaplatała i rozplatała końcówkę swego bardzo długiego, bo sięgającego kolan, warkocza.

Matylda spojrzała na matkę ze zdziwieniem.

- Jak to? Podczas remontu nikt tego nie kontroluje? - wypytywała, wytrącona z równowagi. - Nie sprawdzają, gdy wychodzą do domu, czy wszystko jest w porządku? Przecież ja muszę sprawdzić dwa razy zanim zamknę gabinet na klucz! - Matylda wyobraziła sobie, co by to było, gdyby ją złapano na

tym, że na przykład zostawiła włączoną lampę. Dopiero by dyrektorka się na nią darła. O premii mogłaby zapomnieć na długi czas.

- Takie ruskie porządki – babcia wzruszyła ramionami. Jej już nic nie mogło zdziwić. - Komuniści tutaj to przywlekli, to tak teraz jest! Jak mieszkaliśmy w Leipzig... – Swoim zwyczajem chciała, choć w opowieściach wrócić do czasów młodości.

- O Jezu! Wieża zapadła się do środka! – krzyknęła mama Matyldy, przerywając bezceremonialnie te wspominki. Z emocji i przerażenia chwyciła się dłońmi za głowę.

- Strasznie to wygląda... – wyszeptła Matylda i zastygła w identycznej pozie jak jej matka. Widząc, że ją naśladuje, a tego chciała uniknąć za wszelką cenę, wcisnęła ręce w kieszenie szlafroka. Po kilku minutach oświadczyła zdecydowanie:

- Idę spać. Nie wiem, jak wy, ale ja rano przed siódmą muszę wstać. Jeśli się spóźnię do muzeum, to dyrektorka będzie mi zwracać uwagę, a ja tego nie lubię.

- Idź, Tyldziu, idź – poparła ją babcia.

- Błagam, nie mówcie do mnie Tyldziu! Bo tego nie

znoszę – burknęła, wychodząc z pokoju. Na znak dezaprobaty, na takie zdrabnianie jej imienia, lekko trzasnęła drzwiami.

Oryginalne imię Matyllda dostała po swojej drugiej babci, matce ojca, który wkrótce po narodzinach dziewczynki został zamordowany przez komunistów, mimo że nie zaliczał się do tak zwanych wrogów ludu. Nie wywodził się ani z ziemiańskiej rodziny, ani z burżuazji. Wystarczyło, że skrytykował panujące porządki, a właściwie nieporządki w fabryce, gdzie był majstrem. Pochodzący z Poznania, z dziada pradziada, porządek i pracowitość miał we krwi. Nie mógł patrzeć na marnowanie materiałów, powszechną kradzież i partactwo. Na drugi dzień, po tym jak powiedział, co myśli o takim zarządzaniu, dwóch ubranych w prochowce osobników wywlekło go z domu jeszcze o świcie, w piżamie i kapciach. Więcej go nie zobaczyły. Ponoć zmarł na zapalenie płuc. Były i tak w dobrej sytuacji, że wydano im zwłoki i mogły urządzać pogrzeb. Babcia Matyllda wówczas już nie żyła, podobnie jak jej mąż Wincenty. Obydwoje zginęli jeszcze podczas wojny. Ojciec Matylldy miał wówczas 17 lat.

Rano, oczywiście, wstała zbyt późno, aby zdążyć cokolwiek zjeść. Błyskawicznie wskoczyła w swoje ulubione, sztruksowe spodnie koloru piasku. Na czarny podkoszulek narzuciła z tego samego materiału coś w rodzaju długiego wdzianka zapinanego na guziki, z krótkim rękawem i paskiem w talii. Komplecik uszyła mama, bo przecież w sklepach trudno było kupić coś modnego. Latała w tym stroju świątek, piątek i niedziela. Gdy słupek rtęci w termometrze za oknem wędrował powyżej dwudziestu kilku stopni wdzianko zdejmowała i zostawała w samym podkoszulku, kiedy robiło się chłodniej, wkładała dodatkowo grubą golf. Żadna tkanina nie mogła się równać z porządnie spranym sztruksem. Do tego brezentowa, ciemnozielona torba, na długim pasku, przewieszona przez ramię, tak wielka, że mogła pomieścić ze cztery bochenki chleba albo dwa tomy encyklopedii.

Dzień po pożarze zapowiadał się ciepły. Jak to w czerwcu. Na przystanek tramwajowy Matylda dobiegła w ostatniej chwili. Gdyby nie dobra wola – jakimś cudem uprzejmego – motorniczego, który chwilę zaczekał na Matyldę, „dziesiątka” uciełaby